

# Zawartość

Kiedy byłem małym chłopcem (hej), festiwale piosenki w Opolu, Sopocie czy Eurowizję oglądało się rodzinnie. Jeżeli nawet mnie to niespecjalnie interesowało, to mimo wszystko niektóre melodie zakodowały się w głowie. Zdarzały się też debiuty, otwierające wielkie kariery. Krótko mówiąc: warto było popatrzeć.

Choćby po to, żeby wiedzieć, co w trawie piszczy. Z podobnym nastawieniem włączyłem telewizor w tym roku.

Wytrzymałem pół godziny i rzuciłem ręcznik.

**N**ie chce mi się komentować „wydarzenia”; kto widział, ten wie. Nie jestem zresztą do tego uprawniony, skoro nie ogarnąłem całości. Coś mi jednak mówi, że dalej nie wydarzyło się nic specjalnego. Jeszcze gorsze zdanie mam na temat tak zwanych „młodych polskich kabaretów”. Ich występy wywołują u mnie przykre objawy, polegające na tym, że wstydzę się za wykonawców, sprzedających dowcipy, których poziom już dawno przekroczył granicę żenady. Zastanawiałem się nad tym, że przecież muszą je tworzyć inteligentni ludzie. Czy nie widzą efektów swojej pracy? Nie potrafią spojrzeć na nią z dystansem? Ale czy jest taka potrzeba? Widownia świetnie się bawi, a niekiedy nawet wybuchają śmiechem. Odczuwam ulgę, że mnie tam nie ma, bo mógłbym się zachować jak bohater filmu Barei, oglądający Szekspira po węgiersku.

Powiecie, że można przecież w tym czasie przeczytać książkę i nie ma co bić piany. Jednak lektura gazetki z programem telewizyjnym prowadzi do przerażającego wniosku: to jedyna forma „kultury”, obecna w tzw. mediach głównego nurtu. Pozostałe po prostu nie istnieją, zostały wycięte jak 300 Spartan, do nogi. Jeżeli w ogóle pojawia się na ekranie jakiś artysta, to w programie śniadaniowym. Najlepiej zresztą, żeby coś ugotował, albo

poparł właściwego polityka. Bo śpiewanie, granie? Kogo to obchodzi...

Wspomniane media straciły zainteresowanie kulturą, ale też zdolność wypromowania czegokolwiek wartościowego. Potrafią się jedynie grzać w blasku sławy, zdobytej gdzie indziej. Nie kierują się przy tym żadnym przesłaniem, programem ani pomysłem. Liczy się popularność.

Jeżeli piosenka „Ja uwielbiam ją” (przepraszam, jeżeli przekreśliłem) ma kilka milionów odtworzeń na Youtube, to trafi na antenę. Znowu powiecie: niech sobie puszcza, co chcą. Problem jednak w tym, że wspomniany przebój wypełni w stu procentach tygodniowy „plan kulturalny”.

Z tej „prawdy ekranu” wynika, że ludzie się sztuką nie interesują. To jednak nie tak, bo teatry są pełne, a młodzież poszukuje dobrej muzyki. Wystarczy przejechać się metrem i policzyć słuchawki na głowach. To jest rzeczywistość. Media się od niej oddalają, przez co tracą zasięg. Bo skoro nie ma w nich oczekiwanej zawartości, to trzeba ją znaleźć gdzie indziej.

Podobnie z informacjami. Zawód dziennikarza został już dokumentnie skompromitowany w imię poprawności politycznej. A skoro z ekranu płynie jedynie propaganda, to odbiorcy znów uciekają. Widzę to zresztą po sobie. Owszem, oglądam TV, ale ograniczam się do nagrywania co lepszych

filmów (w ten sposób omijam reklamy) i stacji przyrodniczych lub historycznych. Wspomniane treści kulturalne i informacje bez problemu znajduję w internecie.

Warto się zastanowić, skąd się to bierze. Moim zdaniem, ze statystyki, ukrytej pod postacią „badań”, „sondaży” i tym podobnych narzędzi. Te ciągle i uparczywie pokazują to samo, a osoby decydujące o „zawartości” ślepo za nimi podążają. Nie widzą, że na tym gruncie same hodują sobie konkurencję. Nawet ostatnie wydarzenia polityczne pokazują zmieniający się układ sił. I nie ma w tym nic dziwnego, bo natura nie znosi próżni. Tak, jak duże media straciły zainteresowanie kulturą, ta druga okaże im wzajemność. Wcale nie małe środowiska od dawna funkcjonują poza obiegiem „głównego nurtu”, a mimo to artyści potrafią jakoś dotrzeć do odbiorców i się wypromować. Nawet jeżeli prawdę mówią teorie spiskowe, że zniszczenie kultury prowadzi do stworzenia społeczeństwa, którym łatwiej rządzić, to ona doskonale czuje się w roli opozycji.

Wracając do wspomnianych medialnych jubli, można narzekać, że nie mamy nowych gwiazd piosenki, nie rodzą się talenty, nowe nurty. To jednak znów nie tak. Od kilku lat sędziuję w lokalnym festiwalu piosenki w rodzinnym Zaklikowie. To małe miasteczko na południowym wschodzie; ledwo 3000 mieszkańców. Impreza odbywa się tylko dlatego, że komuś się chce. Jest w stanie udźwignąć na swoich barkach trudną organizację i walczyć z notorycznym brakiem pieniędzy. Mimo przeciwności konkurs ma coraz większy zasięg, a co roku zdarzają się przynajmniej dwie osoby, które mogłyby z powodzeniem (i pożytkiem) zastąpić twarze opolskiej czy sopockiej sceny. Podejrzewam, że takich festiwali odbywa się wiele i zdolnych ludzi (tutaj głównie dzieci) jest mnóstwo w Zaklikowach, Janowach czy Kraśnikach. Inna rzecz, że tych diamentów na prowincji nie ma kto szlifować, chociaż każdą gminę stać na taki budżet. Ale to już temat na osobny felieton.

Maciej Strycki



Dzięki nam w 100% wykorzystasz możliwości telewizora lub projektora. Kalibrujemy również dźwięk (posiadamy certyfikat HAA Level II).

audiofast • tel. 42 6133753 • www.audiofast.pl • info@audiofast.pl